

Adolf Nowaczyński

Zdrada Bandy

MOTTO:

„Niemal poprzez wszystkie kraje Europy rozpościera się potężne i wrogo usposobione państwo, które ze wszystkich innymi jest w stanie stać się wojny i które nie raz straszliwie ciąży nad obywatelami: to żydostwo!”

J. G. Fichte (r. 1793).

JAKI BENDA?

W kwietniowym numerze „Europy” (Rieder!) znów manifest jakiegoś „Comité d'action antifasciste et de Vigilance” (sic). Podpisane pod manifestem komunistyczne klerkosnoby, sympatyczny pomimo wszystko R. Rolland, antypatyczny zawsze A. Gide, zwykle żydy: Berl, Werth, Bloch, Guehenno od Calibana (i sam Caliban), Pierre Quint Preustowicz no i ten tajemniczy a dziś wszedłbyłski Benda.

Jaki Benda? Powoli...

Niedawno przypomniała prasa paryska jeden z zastarzanych tyśiącznych skandalów, który teraz znów doznał odświeżenia w związku z Aleksandryną, to jest skandal z roku 1923 w związku z pakebotem „Valdivia” (Marseil — Amerique du Sud). Wykradziono ze statku ważne worki pocztowe. Winowajców... oczywiście nie odnaleziono. Sprawa poszła „w zapomnienie”. Po dwóch latach sobie przypominano o niej po raz pierwszy, a teraz, w kwietniu po raz drugi łącznie z aferą Stawicki. Maczał w tem rączki pewien Benda. Jaki zaś Benda, to zacytujemy z prasy ustęp w oryginalne:

„Et voici qu'en fin 1925, on découvre, dans une grande banque parisienne, vingt titres provenant des vols du Valdivia. C'est Stavisky qui les a déposés là en nantissement. On l'interroge. Il prétend avoir reçu ces titres d'un de ses amis, Marcel Benda; ancien collaborateur de Malvy qui purge dans une prison belge une peine de dix-huit mois pour trafic de titres volés également à bord du Valdivia. Aux magistrats belges qui l'ont condamné, Benda a prétendu que c'est Stavisky qui les lui a remis. Une confrontation s'impose. Elle n'aura jamais lieu.

Six mois après, Benda est reconduit en France. Le juge Delalé s'empresse de le mettre en liberté provisoire sans lui poser la moindre question ni sur les accusations qu'il formule contre Stavisky ni sur celles que celui-ci formule contre lui-même”.

I. t. p. i. t. d.

KONCYDENCJA NAZWISK.

Benda, dawny współpracownik Malwego, eskrok, kryminalista, kajaniarz, jeden z tych niezliczonych pasażerów, mszyc, obiadłych i osiadłych w III-ciej Re publicy, Collaborateur de Malvy. Dlaczego taką przedrędną szelmę wyciągamy za uszy pod światło? A dlatego, bo dziwnym trafem przy aferze Stawickiego płacze się moe nazwisk metecznych, które równocześnie „skądinąd” blizczą też w piśmiennictwie nadobnem. Jest więc potężny „brat” Louis Proust, jest Cohen (w kryminalu), jest Bloch, jest Meyer, jest Bernard... Czy to kuzyni niewydarzeni, czy też przypadkowa koincydencja i złośliwy skład okoliczności, dość, że na jedną sławę w literaturze czy w sztuce wypadła zawsze jeden negatywy czy c i e n w kryminalistycie.

Niewielka, nie tak znów wielka cyfra dla Francji przypadającego wybranego narodu (180.000???) daje równocześnie z każdego klanu jedną jednostkę, jako g l o i r e narodu, a drugą do kryminalu, jednego myśliciela, a jednego handlarza narkotyków, jednego filozofa (Brunschwick), jednego bankiera pasera, jednego świetnego „żurnaliste” (Zweifla) drugiego galernika, jednego znakomitego wydawcę (Riedera) drugiego apasza i mordercę, jednego prezesa komitetu dzisiejszej Legji Honorowej Dawida Weilla, a drugiego Weilla skrybę, łapserdaka, obrońcę gangsterów; Jean Richard Bloch religioznawca i Jane Bloch, kokota - zdradzi, która zajmowała się edukacją małoletniego Serge Alexandre... Tak się to jakoś dziwnie składa (plecie) w tym zapadającym się w grzęzawisko i nie chcącym się ratować cudnym Paryżu.

OWOLI I WBREW WOLI

Toteż i mimo woli, a raczej wbrew woli tak jakos podświadomie (subliminal), gdy się czyta nowy manifest przeciw faszyzmowi paryskich intelektualni-

stów - komunistów a obok podpisu (świeżo entuzjastycznie obkadanego przez Erenburga) A. Gide'a podpis przestankomatego myśliciela Bendi, mimowoli ciągle (dźwiękowo) płacze się reminiscencja tego drugiego Bendi, złodzieja, kryminalisty i „ancien collaborateur de Malvy...” archilotra z czasów wojny, zdradcy i też kryminalisty: Malvy. Ale temu na imię Marcel, a temu Jullien...

Może nawet nie krewni, nie kuzyni? Może się nawet nie znają? Może jak zmarły wielki Marcel (czy Maurice) Proust nie wiedział i nie stykał się nigdy z Louisem Proustem, bezczelnym geseftciarzem i oszustem z kulturalnych Izby (wyrzutków), tak znów z Marcelem Benda nigdy nie zetknął się w życiu taki czarujący stylista, taki mędrzec dostojny i arystokrata ducha, jak Jullien Benda tyłu arcydzieł autor... Ale cóż na to poradzić, że żydożerca profesjonalny i łakomy mimowoli czy dla przekory zacznie sobie o bie sławy (pozytywną i negatywną) klanu Benda jakoś porównywać, wiążąc ze sobą, płacąc, kombinować aż wreszcie dojdzie do jakichś dziwadlanych konkluzji...

DYSTINGOWANY PLATONIK

Bo żeby się był jeszcze nie pod pisywał pod tym manifestem! Bo żeby w ogóle w tym sezonie zachować wytworną rezerwę myślicielką i nie wychodził, nie schodził ze swojej wieży z kości sło-

niowej czy minaretu muezzina. To byłoby wzniośle, pigkne, efektowne i nie budziło żadnych podejrzeń.

Ale gdzie tam! Wprost przeciwnie! Dystygowany... Platonik już od listopada, od paryskiego Zjazdu „Intelektualnej Współpracy Europejskiej” porzucił ładną pozę latarnika czy pustelnika, nawołującego klerków: prostujcie sięcieście wasze! Zbyszyszy się pańskiej rezerwy, jał się Benda poprostu mieszać do wszystkiego, omal codzień głos gdzieś zabierać i spełniać jakby jakąś tajemną misję... posłannictwo, korzystając, profitując ze swego w poprzednich latach narastającego solidnie autorytetu. W przeciągu kilku miesięcy okazało się, wyjaśniło, że jest poprostu d w ó c h Bendów i to w jednym tylko w Julenie: ten dawny, którego znał, umiłowal, ale już jednak z pewnym sceptycyzmem świetnie nam sprezentował Parandowski i ten drugi z r. 1938-4, jakiś podobrażniony, rozgorączkowany, rozirytowany, nieprzyjemny, w do- cześnie sprawy ingerujący, raz po raz publicznie przemawiający, na Niemców dziwnie nagle roz- żarty, o Francję ogromnie niby patriotycznie zatroskany, ale nie o miąższ z francuski, nie o mla- żę narodową, nie o zdrowie, e byt, o bezpieczeństwo, ale o „wolność” o ideały, o tradycję („Wielkie” Rewolucji), o jednostkę indywidualną i o wiele, wiele innych... abstrakcyj.

Dawnemu Bendzie leżała na sercu głównie Europa cała, Europa z przyległościami. Kazał ma luczkiem i opiewał tylko tę całą Europę. W szale, a raczej par- don. w natchnieniu kaznodziej- skiem, prawił do Europejczyków (w Paryżu):

„Inteligenci wszystkich narodów, powinniście być tymi, co głoszą swym narodom, że są one pogrążone (sic!) we wiecznym złe, przez to samo, że są narodami (sic). Jak Plotyn (sic, jak Plotyn!) rumienił się za to, że ma ciało, tak wy powinniście się rumienić za to, że macie naród (sic!). Takim to sposobem będziecie się przyczyniać do rozkładu nacjonalizmów...”

No i takim sposobem Benda, ten odrazu legenda genialności obkadzony prorok młodej elity, ile mu tylko sił mózgowych starczyło, przyczyniał się do rozkładu nacjonalizmu... ale... francuskiego... „A jeśli was powołują do wojska, to idźcie do wojska. ale tam, w szeregach, pod torni- stem i karabinem gardźcie w głębi tą służbą! (sic). W taki to sposób chrześcijanie (chrześcija- nie!) wyratowywali państwo sta- rożytno, poddając się jego prawom, ale gardząc. Cezarem i jego prawami!”... („różni karabinem w bruk ulicy”)...

BENDA... PRZED HITLEREM

Benda z tych czasów, Benda przed Hitlerem... przyswoiwszy sobie, jak nikt obcy kunszt języ- ka francuskiego, wysnuwał swe kontemplacje prozą tak mistrzowską, górną i wybredną, że zdołał

nawet skokietować czy schloro- formować, integralnych nacjona- listów i z ich prasy zbierał tak- że, „narecza” wonnych komple- mentów i superlatywów, co dopiero i co właśnie świadczyło jak to do samego szpiku zatrwa- nym był organizm tolerujący takich mącieli, byle fajnych i frapujących. Cudownie zamasko- wany młody „Benrubbi” z Polski taki sam S a v o i r jak Caro z lat 70-tych, jak Bergson, jak Mejer- son i t. p., przez kilka lat pięknie najętsze mózgi kokainizował ta- mi swoimi ideowami perfumami Kassandra wróżyła epokaliptycz- nie: „Europa albo Katastrofa”.

Także mówiła Benda: „Nie zazna łaski, kto ma smak do rzeczy ziemskich”... Świat trzeba porwać do Boga!... my ludzie Zachodu... my opiekunowie moralnych wartości... naród europejski... Francja Apolliniśka... język francuski bę dzie językiem przyszłej Europy.. obrona abstrakcyjnego idealizmu (w Paryżu?)... poniżone pierw- stki moralne (w Niemczech)... od Marxa nawróć do Platona... nie korzyć się przed Marxem!... ode- brać historię... precz z absolutną suwerennością narodu... porzuć cie ołtarze Marxa... Europa daw- na nie była podzielona; powróć- my do przeszłości!... Europa jed- nością gospodarczą, duchową, me- ralną... albo robimy Europę, al- bo zostajemy wiecznymi dzieci- kami... prymat Europy nad party- kularzami... ojczyzny są abstrak-

cjami... ojczyzna, pojęcie transce- dentalne... mytos i mistyka nacjo- nalizmu... wyższy ład przeciw de- strukcji narodowej... mówi święty Tomasz... wedle słów świętego Franciszka... aby uczyli myśleć kategoriami europejskimi... aby wrócili do Spinozy i Platona... myli się Romain Rolland... pań- stwo nie jest suwerenne... Wedle słów Ewangelji... klerk głosem sumienia... clerc demonstuje wi- zję lepszego świata... zalew mate- rjalistycznego barbarzyństwa... Pouczal Chrystus... Europa prze- ciw ojczyznom...

JAKA TAKTYKA I STRATEGIA

Z tych lusków i błysków, z tych skrótów i próbek, z tych szkielek i kryształków możemy już poznać jaką w tem taktyka i jaka strate- gja i ile... hipokryzji, i ile perfi- dij, w czem kocieterja a gdzie podlizywanie się, jaka procent camouflażu i jaki bezmiar, jaka przepaść... żydostwa. Dozowanie jak u wirtuoza: to dla tradycjo- nalistów, to dla religiantów, to dla humanistów to dla romanty- ków, z marxizmem precz, ale i z militarizmem precz! Francja roz- brojona na czele narodów! Niby szacunek dla katolicyzmu byle Spinoza zaraz, przy Jezusie. Ko- kietowanie świętym Tomaszem i dawanie materiału ideowego „objecteurum”, co nie chcą iść do wojska, syndykatom laicystycz- nych belfrów i pacyfistom ze Sor- bony, z Salu Wagram, Trocadero, Club de Faubourg, dalej Halevym, Blochom, Cremieux, Pourtalesom, Levy Brühlom i tym wszystkim z „Jardin de Betses Sauvages”, z „Noeud de Vipe- res”.

Ostatnio dał autor „La Fine de l'Eternelle” faryzeuszow- skie orędzie pod aroganckim ty- tułem „Discours a la Na- tion Europeen” zeskanotowa- nym z Fichtego, niebacznie dema- skując się już do połowy. W świe- tle olbrzymich zbrojów niemieck- ich i scementowania się mas pangermanskich — ten prorok (pierwszy pacjent ze szpitala: „Les Hommes malades de la paix”) okazuje się zwy- kłym zdradca stanu, rozbraja- czem swej przybranej ojczyzny, bezczelnym metekiem — mechesem, którego odradzająca się Francja (o ile nie ma ochoty zwolna zdy- chać) powinna zamknąć, jako pierwszego w odbudowanej na gwałt Bastylji. Inaczej odbudują Francuzom Bastylję Prusacy, Włosi będą jej żandarmami, a Benda dostanie pierwszy Hohen- zollernowski order „Pour le Meri- te”.

Przedmowa do Conrada Heite- na Historji Nacjonal - Socjalizmu (Stock Editeur) jest bezcelowo podstępna, przebiegła, perfidna i nędzna.

ZDRADZIŁ SIEBIE

Pod poprzednim manifestem antyfaszystowskim podpisali się jeszcze następujący literaci „fran- cusey”: Michel et Jeanne Alexan- dre, Jean et Pierre Aujaime, Geor- gette Camille, Maurice Henry, Georges Huguet, Sylvain Itkine, Michel Levis, Etienne Lers, Do- ra Maar, Jean Mamy, A. Patri, S. et D. Ribak, Guy Rosey, Roger Roumagnac, Tchimoukow, Georges Weinstein, Pierre Yoyotte, etc., etc...

Na miłe mykwą śmierdzi ta E- lita.

Garfunkel, Zweifel, Basch, Asch, Leacha (czy Leck-Arsch) są takie przeciw faszyzmowi, Herzog (Maurois) także. Wszy- scy właściele domów publicz- nych, knajp nocnych, karciami i szulerni także. Pederacja i c o r p o r e.

W danym historycznym momen- cie, który Francja przeżywa, być za prolongowaniem pochrappwa- nia na fotelach starców a prze- ciw młodemu prawnicowemu dyk- tatorowi, któryby i z lewicą i z kapitalistami zrobił definitywny porządek, jest to to samo, co zdradzać Francję na rzecz sz- kujących się Wloch i Niemiec.

Autor „Le Trahison de Clere” zdradził także i siebie. Ze jest „od naszych” wiedzieliś- my już dawno. Czy myśli to na- dać ukrywać, jak ukrywał długie lata Bergson?

Zdzisław Broncel

Rodzina niewolnicza

Czy widzieliście może film King Vidora: „Człowiek z thumu”? Bo Pinneberg, szary człowiek z książ- ki Fallady *) jest do „Człowieka z thumu” bardzo podobny. Musi być podobny, gdyż szare postacie ludz- kie nie mogą się między sobą róż- nić. Podobieństwo jest zewnętrzne — bieda, i wewnętrzne — strach. Ci ludzie nie należą już do samych sie- bie, nie rozporządzają chyba niczem, poza wątpliwą wartością prawem wyborczym.

W przedsiębiorstwie, w którym pracują, reorganizator kładzie im ciego w głowę: firma panu zapew- nia egzystencję, firma panu odbiera trochę o pieniądź, firma pana ży- wi i ubiera, powinien pan zawsze i wszędzie myśleć o firmie. A tym- cześnie pan sobie firmę lekceważy. Przed dwoma miesiącami chorowa- ła pańska żona, teraz pańskie dzie- cko, w przyszłym tygodniu umrze panu oiotka, a za miesiąc bubka. Nie możemy pana ciego zwalniać! Czyżmy się zrozumieli, panie Pinne- berg?

Pinneberg stał się własnością fir- my. Osiągnięto to prostą meto- dą. Reorganizacja polegała na za- prowadzeniu książeczek rachunko- wych dla personelu. Firma Mandel musi w ciągu miesiąca sprzedać pewien kontyngent towarów. Każdy z subiektyw ma powiedziane, że jeżeli nie sprzeda klientom za sumę 20 razy wyższą od jego pensji, zo- stanie zwolniony z posady. Dzieje się to w Niemczech, przed przy- jęciem do władzy Hitlera, na tle szalejącego bezrobocia.

Sprzedacę ubrań za sumę 20 razy wyższą od własnej pensji, to nie jest łatwa sprawa. Tembardziej, że w ten sposób wszystkie winy i błę- dy firmy skupiają się na sprzedaw- cym. Ubrania są w złym kolerze, źle skrojone, tandetko wykonane — nie to, Pinneberg musi sprzedać.

W ten sposób Pinneberg został kupiony przez firmę. Od tej pory dzień i noc będzie myślał, za ile jeszcze ma sprzedać do końca mie- siąca. Jego praca musi być wydaj- na! O Pinnebergu, jako człowieka, decyduje ilość sprzedanych spodni. Niedosć tego — los ma swoje pod- stępy, miesiąc luty liczy 28 dni. Mi- mo to nie obniżaą cyfry, wymaga- nej na blozku sprzedażnym. Bo i z jakiej racji? Perspektywa bezro-

boicia jest dostatecznym dopingiem dla tych ludzi — koni wyścigowych.

A jak placą? Możliwie jaknaj- mniej. Szary człowiek z książki Fal- lady nie może marzyć o kinie, o naj- prostszych rozrywkach. Zaprenu- mowanie gazety jest dla niego wiel- kim wysiłkiem. Przy ciągłej oszczęd- ności i odmawianiu sobie wszyst- kiego, co lepsze i droższe, potrafi jakoś żyć. Zaoszczędzić nie zdo- ła nie. Utrzymywany jest w stanie wieczystej biedy. Żadnych możliwo- ści rozwoju, polepszenia bytu. Wła- nie tak, jak niewolnik.

I jak niewolnik poganiany jest batem. Pod koniec każdego miesia- ca Pinneberg stoi nad przepaścią. Brakuje mu trzystu, czy stu marek do okragłej, wymaganej sumy. Dla- tego też, gdy zdarza się, że przed- dzie koło bezrobotnych, czuje, że on właśnie do nich należy, choć ma posadę, czuje, że na chwilę wy- dostał się spośród nich i że tam wróci. Wystarczy, żeby zachorował. Napewno go wtedy wyrzucą. Jak niewolnika. Więc dominującemu u- czuciom w jego życiu jest strach. Otacza go zewsząd lek, ciele pyta się sam siebie — i cóż dalej, szary człowieku?

I jakże ta książka Fallady może być pogodna? A jednak jest. Tyle już było powieści beznadziejnie po- wtarzających zapytanie o los szare- go człowieka i pozostawiających je bez odpowiedzi. Gdyby Fallada na- pisał jedną więcej, nie wartoby się tem zajmować.

Ale właśnie Fallada daje odpow- iedź. Autor powieści o Pinneber- gu został wypędzony z Niemiec hi- tlerowskich, prawdopodobnie za przekonania socjalistyczne. Nie moż- na od Fallady spodziewać się peł- nej repliki. Coprawda sytuacja Pin- neberga jest tak wyjątkowa, że sami sobie dopowiadamy resztę. Fallada dał powieść nie o jednostce, ale o rodzinie. Pinneberg złożył rodzinę. Początek rodziny nie był najpięk- niejczy. Jego dziewczyna miała mieć dziecko, a że się koehali, więc pobrali się. Ważne jest, że autor te- go typu, co Fallada, nie poszedł po zwykły drodze radykalizujących pi- sarzy, i nie zainscenizował niedo- zwolonej operacji i piekła kobiet. Pinnebergowie decydują się na

dziecko, choć je mieć. Bo to prze- cież ich dziecko. Dziecko ich miło- ści. A z pieniądźmi — jakoś to bę- dzie. Mamy chęć i siłę do pracy!

Ta rodzina boryka się z losem. Z walki wychodzi może pogrębio- na, ale czysta. Niema na niej skazy czynów nieuczciwych. Jest chłuba zapobiegliwości i odwagi życiowej. Ilekroć spotyka ich ciós, ilekroć Fal- lada pokazuje nam przykrą scenę ze świata pracy, to potem, jak dla u- spokojenia, dla dania nadziei — przenosi czytelnika w świat domu. Tu zawsze świeci słońce. Tu jest stowarzyszenie się na całe życie. Ko- leżeństwo, przyjaźń, miłość, macie- rzyństwo.

Mimo niektórych szczegółów, nie- których zapatrywań, które w książ- ce Fallady nie są nam sympatyczne, trzeba powiedzieć — oto narezele powieść o pracy i bezrobociu, po- kazująca nie jakiegos wykołoseńca, ne- urastenika, ale parę ludzi młodych i wierzących w życie.

Wartość książki Fallady polega na pięknie opisów miłości matke- stwa. Kobieta bohaterka powieści, nazywana przez męża „Jagnię”, ma w sobie dużo naprawde z bohater- stwa. Nawet w najgorszych czasach potrafi sprawić, że dom jest do- mem. Fallada nieszczerliwym, pyta- jącym o przyszłość szarym ludziom mówi — oto to jest coś, czego wam nikt nie wydrze. Jedyna chyba wła- sność niewolnika — dom, szczęście rodziny. Tego szukaj, człowieku, że- by ci zawsze mogło być podpora i pociecha.

Coprawda, założenie rodziny spo- łęgowało wewnętrzny, gorączkowy strach Pinneberga. Odpowiedzial- ność jego jest coraz większa. Lecz większa jest i siła. Gdy wobec wy- bryków pracodawcy musi zainis- zęby, to szepce sobie: — Jagnię! Jagnię! — myśli o żonie i dziecku. Gdy większa jest siła, większa jest ostrość walki życiowej. Pinneberg zrzecyna, jak inni, wydziera kole- gom-sprzedawcom klientów. Dlatego nierz traci pogodny usmiech i ma- jąc radość domu.

Pinnebergowi dzieje się tak, jak i innym. Dotyka go bezrobocie. Łatwo- teraz rozszereżny sobie narał Fal- lady. Tak, rodzina, ale rodzina o- parta na własności zdobytej i po-

mażanej pracą uczciwą i pożytecz- ną dla społeczeństwa.

Akurat tak się złożyło, że nie- dawno czytałem powieść o chłopach. Jakże inna jest nędza chłopów i nę- dza inteligenta zawodowego. Gdyby Pinneberg miał choć skrawek ziemi, nie czułby się tak wyszczuty ze świata. Gdyby Pinneberg miał swój warsztat pracy! Pracowałby napew- no więcej, niż w f. Mandel, i lepiej, i mądrzej. Czułby sens pracy. Nie- strach przed niewypelnieniem księ- żeczki sprzedawcy, ale żądę osią- gnięcia maksimum. Byłby może czło- wiekiem ubogim, ale nie szarym, bez- znaczenia, człowiekiem — pyłem, któ- ry nie ma i nie będzie miał nic, po- za kwalifikacją na nowoczesnego niewolnika.

Pinneberg nie posiada ani ziemi, ani swego warsztatu. Nie posiada także tego, co dziś zastępuje ziemię i warsztat — talenty moralnego kompromisu. Kiedy okazuje się, że jego matka ma niebardzo chwalne dochody, wyprowadza się od matki. Niech nie nie ma ci czystości jego życia z żoną, z Jagniątkiem.

Fallada zdaje się mówić, że naj- gorsza klęska dla tych dwójga nie będzie klęska. Bezrobotnego Pinne- berga poliejunt przepędził pałą do wystawy sklepowej. Wziął go za włóczę. A potem:

— Och, Jagnię, co oni ze mnie zrobi- li... Policja... zepchnęli mnie z chodni- ka... Pragnął mi... jak mogę spoj- rzec jeszcze ludziom w oczy...

I naraz Jagniątku już nie jest zima; nieskończenie gorąca, łagodna fa- la wzbiera w niej, unosi ją, kołysze... a jego z nią razem. Gwiazdy blizczą tak blisko, niemal tuż nad głowami.

— Przecież mnie możesz zawsze pa- trzyć w oczy — szepce — mnie, miłe zawsze! Zawsze, a zawsze! Jesteś prze- ciw przy mnie, jesteśmy przecież ra- zem...

Fala przybiera, fala huśta. Znów jest, jak wtedy na plaży między Len- sahn, a Wick, wtedy także gwiazdy by- ły tak blisko. To stare szczęście, to sta- ra miłość. Wyjść, wyjść, precz od plu- gowej ziemi ku gwiazdom!

I oboje wchodzi do domu, w któ- rym śpi ich Mucc.

Raz jeszcze ratuje ich miłość i wierność. W rodzinie, jak w przyro- dzie, jak w ziemi, jest odwieczna si- ła. Ale czyż nigdy zły los nie zni- szczy ostatniej ości tych dwójga lu- dzi? Nędza chadzi z nieszczęściem w parze. Jak jeszcze długo w swo- ich raniach będą znajdować ratu- nok? Jak długo potrawa odpór prze- ciw złu?

I dlatego nie „coż dalej, szary człowieku?”, ale „jak długo, szary człowieku!”.

Niech żyje pamięć „3 Maja”. Uczcijcie święto nalepkami na „Dar Narodowy”

Zamawiać w Macierzy, ul. Krak. - Przedmieście 7 m. 4.

*) HANS FALLADA: „I coś dalej, szary człowieku” Str. 424. Warszawa 1934. M. Fruchtmann, Przekład M. Was- sermannówny.